

## LATAJĄCY HOLENDER

Już pierwsi powojenni mieszkańcy Polkowic, przybywający na Ziemię Odzyskaną, zastanawiali się nad historią ceglanych ruin wiatraka typu holenderskiego przy ulicy, a jakże by inaczej, Młyńskiej. Skąd się tu wziął, kto go wybudował i jak to możliwe, że przez tyle lat po wojnie nie podjęto decyzji o jego wyburzeniu? Przez wiele lat stan opuszczonego, niedziałającego już wiatraka pogarszał się. Dziw, że jego mury przetrwały bez zabezpieczenia, aż do czasów dzisiejszych. Widać, że do budowy użyto bardzo solidnych materiałów budowlanych.

Wielu urodzonych już w Polkowicach mieszkańców twierdziło, że te ruiny stały tu od zawsze. Ten malowniczy zabytek historii wpisał się na tyle mocno w pejzaż rozwijających się dynamicznie po odkryciu złóż miedzi Polkowic, że nawet stał się chętnie fotografowaną i umieszczaną na pocztówkach atrakcją, obok ratusza, szybu kopalni ZG Polkowice i chyba najdłuższego na świecie czteropiętrowego bloku przy ulicy Lenina (obecnie 3 Maja), który z powodu pęknięcia wielkiej płyty musiał zostać „pokrojony” w latach 90-tych na kilka kawałków.

Przez trzy pokolenia, z duszą na ramieniu, wałęsające się dzieciaki narażały swoje zdrowie, buszując po jego wnętrzu w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów historii, a może i zakopanego skarbu. Mimo obowiązującego zakazu wchodzenia do środka i zabezpieczenia otworów będących kiedyś drzwiami i oknami tego budynku, ciekawscy poszukiwacze zawsze znajdowali sposób, aby chociaż na chwilę wejść do środka wiatraka, posiedzieć w ciemnym wnętrzu i patrząc w górę, wyobrażać sobie jak duże musiały być jego śmigła i jaka byłaby to frajda pojeździć na nich jak na diabelskim kole.

Każdy bez wyjątku, kto przejeżdżając przez Polkowice popatrzył na ten wiatrak, prężący się dumnie do dzisiaj, musiał pomyśleć, że stoi on w idealnym miejscu, gdyż na pewno na tej górze od zawsze wiały silne wiatry. Każdy także może stwierdzić, że to najwyższe wzniesienie w okolicy, na którym przed ponad 700 laty piastowski książę Bolesław I Wysoki założył miasto, obecnie zwane Polkowicami. Stare poniemieckie pocztówki sprzed stu lat potwierdzają istnienie co najmniej dwóch wiatraków wzdłuż obecnej ulicy Głogowskiej, a znawcy lokalnej historii oraz legend twierdzą, że musiało być ich na pewno więcej.

Czy rzeczywiście wiatraków mogło być w Polkowicach więcej, a jeśli tak, to gdzie się podziały? Skoro jeden z nich mógł przetrwać, czemu nie ma śladów po pozostałych?

O tym właśnie jest historia, którą wam opowiem. A czy w nią uwierzycie i czy po jej przeczytaniu ruszycie w podróż dookoła świata w poszukiwaniu Latających Holendrów, zależy tylko od waszej wyobraźni. I od tego, czy odważycie się wykonać pierwszy tej podróży krok.

\*\*\*

Te przedziwne zdarzenia, w które ciężko byłoby nam dzisiaj uwierzyć, poprzedziła wyjątkowo sroga zima. Tak długa, że trwała dłużej niż poprzedzające ją wiosna, lato i jesień razem wzięte. Pierwszy śnieg spadł już pod koniec października, a ostatnie białe plamy leżały pod lasami i w bruzdach na polach aż do początku maja. Tak długo zamarznięta ziemia nie pozwalała mieszkańcom ówczesnych Bolkowic na szybkie wiosenne prace polowe i obsianie okolicznych pól, przez pokolenia wydzieranych puszczy ciężką pracą przy karczowaniu drzew i czynieniu ziemi poddaną, jak Bóg nakazywał w Biblii.

Zamarzły tej zimy wszystkie okoliczne stawy i jeziora, bagna i mokradła, a kilka niewielkich strumieni przestało dostarczać wodę. Na szczęście trzy najgłębsze studnie w miasteczku nie zamarzły i mieszkańcy zachowali stały dostęp do wody pitnej.

Kiedy pierwsze pługi ciągnięte wołami mogły wreszcie ruszyć ziemię i kiedy można było wreszcie posiać pierwsze nasiona zbóż, był już koniec maja. Okoliczni chłopcy obawiali się, czy tak późno wysiane zboże zdąży wyrosnąć i wydać dobry plon. Uprawa roli była głównym źródłem ich utrzymania, więc od łaskawości przyrody zależało, czy w kolejnym roku będą mieć żywności pod dostatkiem, czy też będą cierpieć głód.

W Bolkowicach w owym czasie znajdował się tylko jeden młyn - wiatrak. Miasto nie zostało założone nad żadną rzeką, ani strumieniem. Nie mógł zatem funkcjonować tutaj żaden młyn wodny. Za to na wzniesieniu, na którym znajdowała się nasza osada, zawsze można było liczyć na silne wiatry. Mimo, że wiatrak był tylko jeden, dzięki tym silnym wiatrom z powodzeniem wystarczał on dla całej ludności Bolkowic i okolic.

Właścicielem młyna był Jan. Dawniej prowadził młyn z żoną Marią. Jednak Maria zachorowała i zmarła podczas niedawnej epidemii czarnej ospy, która po raz kolejny nawiedziła i zdziesiątkowała cały kraj, w tym i same Bolkowice.

Jan i jego zmarła żona, Maria, byli ludźmi bogobojnymi i nader uczciwymi. To, co ofiarowywali za życia Bogu i biednym, Pan Bóg wynagradzał im wielokrotnie. Jeszcze przed śmiercią Marii dorobili się sześciorga dzieci – pięciu synów i najmłodszej córeczki. Teraz Jan, nie poddając się rozpacz, musiał wychowywać je samemu, co nie było łatwe, zwłaszcza, że dzieci, a szczególnie chłopcy, należeli do niezmiernie ciekawskich i ruchliwych. A to w młynarstwie cechy bardzo niepożądane, jako że wewnątrz młyna do bezpiecznych nie należą. Pełno tu ciemnych zakamarków i ruchomych elementów, więc o nieszczęście nietrudno.

Podczas rzeczonyj srogiej zimy, mimo trudnej sytuacji z dostępem do wody pitnej i kończącej się szybko żywności, Jan tak umiał gospodarować zgromadzonymi zapasami, że nie musiał martwić się o wyżywienie dzieci, aż nadeszły pierwsze roztopy. Wystarczyło także ziarna na dokarmianie licznych ptaków, przyzwyczajonych zresztą do tego, że w okolicy młyna zawsze miały się czym posilić. Po śmierci żony, na jej cześć, Jan nazwał swój młyn Maria. Tak więc wśród mieszkańców przyjęło się, że odtąd nikt nie mówił „Jadę do młyna”, tylko „Jadę do Marii”. Janowi bardzo to się podobało, gdyż często mógł się poczuć tak, jakby jego żona jeszcze żyła i towarzyszyła mu w prowadzeniu młyna.

Minęła dość krótka wiosna, zboża wzeszły, urosły, zakwitły i dojrzały. Potem źdźbła pożółkły i wszyscy niecierpliwie spoglądali w niebo i oczekiwali na upalne lato, które pozwoli im szybko przystąpić do żniw. Zapasy ubiegłorocznych zbóż z powodu długiej zimy skończyły się szybciej niż zwykle, więc młyn nie miał czego mieć i na długo przed kolejnymi zbiorami zaczęło brakować mąki na chleb. Ale nie było to wtedy jeszcze tak dotkliwie, gdyż wiosną i latem żywności bywa zwykle pod dostatkiem.

Bardzo późno tego roku, bo dopiero pod koniec sierpnia, na pola wyszli żniwiarze z kosami i żniwiarki z sierpami. Rozpoczęły się zbiory. Okazało się jednak, że w kłosach znajdują się bardzo małe ziarna. Zmartwieni chłopci starali się zebrać zboża delikatnie, żeby jak najmniej ziarna wypadło z kłosów podczas zbiorów i zwózki. Kiedy do Jana dotarły te złe wieści, również i on z niepokojem zaczął myśleć o najbliższej przyszłości.

Nie wiadomo, co mogło się tak bardzo Panu Bogu nie spodobać, ale to niestety nie był koniec nieszczęść, które miały tego roku dotknąć mieszkańców bolkowickiej ziemi. Bo nagle w dniu drugiego września pogoda się zmieniła i przestał wiać wiatr. A bez wiatru śmigły wiatraka nijak nie będą się kręcić.

Wiatr ucichł dokładnie wtedy, kiedy okazało się, że zboża zostały już wymłócone, zapakowane do worków i złożone w chłopskich stodołach. Zanim chłopci zaczęli ładować worki na wozy i wybierać się z nimi do młyna, Jan musiał ogłosić wszem i wobec, że dopóki wiatr ponownie nie zacznie wiać, on zboża do przemiału przyjąć nie może.

Strach o przyszłość padł nie tylko na Jana i jego dzieci, ale także na wszystkich mieszkańców Bolkowic i okolicznych chłopów. Jeżeli wiatr prędko nie wróci, to szybko wszystkim może w oczy zajrzeć głód.

- To niemożliwe, żeby zabrakło wiatru! – tłumaczyli sobie wszyscy, ale wciąż na drzewach nie drgała ani jedna gałązka.

Wiatr nie pojawiał się, choć mijały tygodnie. Później niż zwykle nadeszła także jesień. Z drzew spadły liście, chłopci zebrali z pól i sadów warzywa i owoce. Przyszły pierwsze nocne przymrozki, a powietrze nadal trwało nieruchomo. Przerazenie ogarnęło już wszystkich mieszkańców i postanowili zebrać się przed ratuszem na rynku i zastanowić się, co robić, jeżeli młyn nie ruszy, zanim nadejdzie kolejna sroga zima.

Na rynku zebrała się na pewno więcej niż połowa miasteczka oraz wszyscy bez wyjątku okoliczni chłopci. Przed tłumem stanęli burmistrz, ksiądz proboszcz oraz młynarz Jan. Najpierw głos zabrał sam burmistrz, wybrany przez radę miejską:

- Mili mieszkańcy Bolkowic i okolic! Nikt nie wie, jak to wyjaśnić, ale w tym roku Matka Natura przygotowała dla nas niemiłą niespodziankę. Coś sprawiło, że ucichł wiatr, który zawsze dotąd nam dopisywał. Bez wiatru nie ruszy młyn i nie będziemy mieli mąki na chleb. Musimy wspólnie uradzić, co robić. Nie możemy zostać ze zbożem w stodołach, kiedy potrzebna nam jest mąka do pieczenia chleba. Inaczej będzie niewesoło.

Kolejny odezwał się ksiądz proboszcz:

- Bracia i siostry! Myślę, że jestem pierwszym duchownym w historii Kościoła, który prosi swoje owieczki, by zaczęły się modlić do Pana Boga o... wiatr. Takiej intencji jak żyję jeszcze nie słyszałem, ale nie mamy innego wyjścia, jak tylko prosić niebios o łaskę i oddanie Ziemi wiatru. Od dzisiaj każda niedzielna msza w naszym kościele będzie odprawiana w intencji... wiatru. A teraz pozwólcie, że was opuszczę, gdyż muszę w tej sprawie napisać list do biskupa. – i ksiądz udał się w stronę plebanii.

Wreszcie wystąpił sam młynarz Jan.

- Niestety nie innej możliwości, aby młyn ruszył, jak tylko odzyskanie wiatru. Nie da się ruszyć śmigów wiatraka w inny sposób. Choćbyśmy nawet nie wiadomo jak mocno dmuchali, to nie wystarczy. Potrzebny jest wiatr i to jak najszybciej. Jeżeli powtórzy się zima taka, jak w zeszłym roku, to bez mąki wielu z nas jej nie przetrzyma.

- Ale co robić? Możemy jakoś pomóc? – wołali przestraszeni nie na żarty zebrani ludzie i wszyscy skierowali swoje oczy na Jana, oczekując że nagle wymyśli jakieś cudowne rozwiązanie.

Jan zamyślił się dłuższą chwilę, podrapał się powoli po brodzie jakby coś mu się przypomiñało, popatrzył z troską po zebranych i wreszcie oznajmił:

- Prawdą jest, że nie możemy siedzieć i beczynn timer czekać. Kto wie, czy wiatr w ogóle zacznie na powrót wiać. Może już nigdy do nas nie wróci? – tutaj złożył ręce jak do modlitwy. – Do czasu znalezienia rozwiązania dołączam się do prośby proboszcza, abyśmy się zgodnie i żarliwie modlili o łaskawość Naszego Pana. Ale wiem też, przyjaciele moi, że liczyście na mnie, na moją

wiedzę i doświadczenie. – tu potrzebował chwilę na zebranie swoich myśli. - Otóż przychodzą mi do głowy dwie rzeczy: po pierwsze razem ze stolarzem i kowalem... – poszukał w tłumie ich twarzy, a oni podnieśli ręce, żeby pokazać mu, że są obecni i że go słuchają. – O proszę, są tutaj z nami. ...ze stolarzem i kowalem usiądziemy i uradzimy sposób, jak uruchomić wiatrak bez wiatru. Na pewno jednak zanim to nastąpi, a zaręczam wam, że jest to możliwe, gdyż słyszałem o takich rozwiązaniach na świecie, minie sporo czasu. A my tego czasu za wiele do zimy nie mamy. Jest natomiast inne rozwiązanie, o którym tylko dotąd słyszałem w opowieściach.

- Radź, młynarzu! Nie chcemy, aby nasze dzieci zimą głodowały! Liczymy na ciebie! – podniosły się liczne głosy z ciżby.

- To, co teraz powiem, musi pozostać między nami i wiedźcie, że nasz ksiądz proboszcz nie byłby z tego zadowolony. Dobrze więc, że nas opuścił. Bo, jeżeli nam się uda, będzie to oznaczać, że istnieją na świecie jeszcze jakieś inne tajemnicze siły, oprócz woli boskiej.

- Chyba nie chcesz wejść w konszachty z Lucyferem, Janie? – zaniepokoił się burmistrz.

Patrząc na zgromadzony tłum, Jana także ogarnęły poważne wątpliwości. Czy powinien im przekazać, jakie legendy od dawna krążą pomiędzy młynarzami? Czy w tych legendach jest choć ziarno prawdy?

- Moi przyjaciele. Wiecie, jaki jestem bogobożny. Wiecie, że mimo przeciwności losu nie poddałem się i każdego dnia jestem gotowy wam służyć moją pracą i przychylnością. Wiele bym dał, aby przywrócić pracę młyna w normalny sposób. - Zapadła taka cisza, że usłyszeli turkot jadącego wozu aż na trakcie głogowskim poza murami miasta. I Jan zaczął swoją opowieść:

Wśród młynarzy krąży przypowieść o pewnym holenderskim miasteczku Heldorp. Mieszka tam podobno cieśla, który potrafi robić niezwykle wiatraki. Wiatraki te jako jedyne na świecie potrafią pracować nawet wtedy, kiedy nie ma wiatru. Ich śmigła mogą się kręcić cały czas, kiedy tylko młynarz uwolni tryby. W miasteczku tym ponoć stoi już nawet taki jeden młyn-wiatrak. Ci, którzy go widzieli mówili, że jest zaczarowany, choć są też i tacy, co twierdzą, że musi być ogarnięty przez nieczyste moce.

W tłumie zapanowało nagle poruszenie. Oczyma wyobraźni ludzie już widzieli, jak taki sam wiatrak staje w Bolkowicach i przemiała zboże niezależnie od pory roku, ani od siły wiatru. To dopiero byłoby coś! Bolkowice stałyby się sławne w całym kraju, a właściciel takiego młyna na pewno zostałby bogatym człowiekiem, a to podniosłoby wpływy podatków do kasy miasta.

Zebrani na rynku mieszkańcy i chłopcy zapalili się do tego pomysłu, gdyż potrzeba mielenia zboża była pilna, a i miasto mogłoby na tym skorzystać. Zaczęli więc naciskać młynarza i burmistrza, by ci wyruszyli bez zwłoki zamówić taki młyn dla Bolkowic. Chcąc nie chcąc, wyruszyli konno jeszcze tego samego wieczora do Niderlandów. Nie wiedzieli, co im

będzie potrzebne do rozmów z tajemniczym cieślą o budowie nowego wiatraka, ale na wszelki wypadek pobrali z kasy miasta znaczną kwotę w złotych i srebrnych monetach, która wystarczyłaby na zbudowanie nawet trzech zwykłych wiatraków, takich jak młyn Maria.

Spędzili w podróży ponad dwa tygodnie, martwiąc się w międzyczasie, czy w Bolkowicach aby nie brakuje już chleba. Dotarli w końcu zmęczeni do Heldorp i odszukali niezwykłego rzemieślnika. Cieśla wysłuchał ich, siedząc przed swoim warsztatem, po czym zaprosił ich do środka. Usiedli przy stole. Burmistrz Bolkowic porozumiewał się dobrze w języku niemieckim, a że niemiecki i niderlandzki są do siebie bardzo podobne, to piąte przez dziesiąte udało im się dogadać. Cieśla, to drapiąc się po brodzie, to przeczesując palcami czuprynę, zastanawiał się nad spełnieniem ich prośby. W końcu zgodził się jednak na wybudowanie wiatraka i to tylko za połowę przywiezionej przez przybyszów kwoty. Postawił tylko jeden warunek: budynek musi być dostarczony na miejsce w całości. Inaczej wiatrak nie zacznie działać.

Burmistrz i młynarz Jan byli niezmiernie zaskoczeni, ale nie próbowali wypytywać cieśli, skąd to niezwykle żądanie. Pewnie cieśla nie chciał, aby ktokolwiek poznał tajniki jego warsztatu, wioząc wiatrak w częściach. Burmistrz i Jan długo nie myśląc, z góry przystali na warunek cieśli. Nie mieli jednak na razie pojęcia, w jaki sposób można przewieźć taki wielki obiekt w całości, na tak dużą odległość bez uszkodzenia go.

Cieśla pokazał im następnie stojący po drugiej stronie miasteczka, skonstruowany przez niego wiatrak, który faktycznie kręcił śmigami, niezależnie od siły wiatru, dzień i noc. A okoliczni mieszkańcy potwierdzili, że wiatrak nie był zmontowany na miejscu, w którym stał, tylko pewnej nocy się tam po prostu pojawił.

Zapłacili cieśli odliczoną kwotę, a cieśla poprosił, żeby przenocowali w gospodzie, a nazajutrz wieczorem wiatrak będzie gotowy. Nie mogli nijak pojąć, jak można w jeden dzień zbudować taki ogromny wiatrak. Coś tu było nie tak, ale woleli nie drażnić tematu, gdyż bali się, że cieśla mógłby się z umowy wycofać.

Ogromnie zmęczeni zajechali do gospody, oddali konie do kowala, aby wymienił rumakom podkowy. Właściciel gospody pokazał im pokoje i zaprosił później na wieczerzę. Nie omieszkał wypytać o cel ich przybycia do Heldorp. Dowiedział się od burmistrza i Jana o historii z wiatrem, o złożonym u cieśli zamówieniu na specjalny wiatrak oraz o kłopotach z jego przetransportowaniem. Dziwnie na nich spojrział i oznajmił, że może uda się znaleźć rozwiązanie ich problemu.

Kiedy burmistrz i Jan weszli do pachnącej pieczonym mięsem sali z kominkiem, zajęli pusty stolik, a zanim pojawiło się mięsiwo i piwo dla nich, przysiadł się do nich dość dziwny zgarbiony człowiek. Jego niski głos niemal zgrzytał łamaną niemczyzną:

- Karczmarz powiedział, że macie kłopot z przewiezieniem wiatraka. – przeszedł od razu do rzeczy, nie przedstawiając się.

- Rozumiem, że możesz nam w tym pomóc? – równie konkretnie odpowiedział burmistrz.

- Ale to będzie kosztowało...

- Wymień swoją cenę. – domagał się burmistrz.

- Tysiąc guldenów w złocie. Ale nie chodzi tylko o złoto, chociaż to ważna część umowy. Jest jeszcze jeden warunek. Przyszły właściciel młyna musi go potwierdzić na piśmie. – garbaty osobnik wyjął spod pazuchy zwinięty rulon. – Przypadkiem mam umowę akurat przy sobie.

- Wszyscy tu mają jakieś dziwne wymagania. – rzekł Jan do burmistrza. – Daj tę umowę, garbusie. Nie mamy czasu do stracenia, wiatrak ma być gotowy jutro wieczorem. – wyszarpnął rulon i podał go burmistrzowi, który zaczął po cichu i w skupieniu czytać. Umowa nie była długa i już po chwili burmistrz stwierdził:

- W zasadzie to nie ma tu nic nadzwyczajnego. Nie do końca rozumiem tylko ostatni punkt. – burmistrz wskazał Janowi na zapis w umowie. – Napisane jest coś jakby: „Młyn śmigami dotąd miecie, póki doń nie wejdzie dziecię”, ale nie jestem do końca pewny.

- Dziwny zapis. Mam sześcioro dzieci, więc będę musiał je po prostu przypilnować. Nic trudnego. – Jan zwrócił się do burmistrza i za jego zgodą złożył na rulonie swój podpis.

- Obiecuję, że zanim wrócicie do domu, wiatrak będzie już w waszym miasteczku. – dodał garbus i dziwnie chichocząc pod nosem, opuścił gospodę.

Całą noc z warsztatu cieśli dochodziły hałasy, a spod zamkniętych okiennic wydostawał się dym i światło. W miasteczku zaczęło śmierdzieć siarką, a garbus chodził od domu do domu, coś wyraźnie ukrywając pod pazuchą.

Burmistrz i Jan niemal nie mogli zmrużyć oka tej nocy. Nazajutrz, zanim opuścili miasteczko, obejrzeliby je sobie nieco dokładniej. Spostrzegli, że w miasteczku nie ma żadnego kościoła, a wszyscy mieszkańcy chodzą ubrani na czarno. Bardzo dziwne wydało im się też, że nie zauważyli w miasteczku ani jednego dziecka. Jeszcze przed południem wyruszyli w drogę powrotną. Całą podróż obawiali się, czy aby nie zostaną przez cieśle i garbusa oszukani.

Po dwóch tygodniach dotarli do Bolkowic i ku ich zaskoczeniu tuż koło młyna Jana stał piękny czarny wiatrak. Kręcił śmigami, chociaż nie było wiatru. Śmigami Marii nadal ani drgnęły. Mieszkańcy miasta i okoliczni chłopcy powitali przybyłych z radością i nadzieją, pytając kiedy mogą przywozić zboże do zmielenia. Zapytani, kiedy wiatrak pojawił się w Bolkowicach,

odpowiedzieli, że ze dwa tygodnie temu, najpewniej w nocy, wiatrak po prostu pojawił się tam, gdzie stoi. Nikt niczego nie zauważył, jedynie strażnik strzegący bramy głogowskiej twierdził, że wiatrak nocą po prostu przyleciał ze śmigami obróconymi do góry. Ale nikt mu oczywiście nie uwierzył, bo wszyscy wiedzieli, że lubił przychodzić na wartę po kwaterce piwa.

Jan zadowolony, że misja się powiodła, nie od razu przystąpił do mielenia. Najpierw bowiem zebrał swoje dzieci i kategorycznie zabronił im wchodzić do nowego wiatraka. Potem ogłosił w okolicy, że nowy wiatrak przyjmuje zboże i wznowił pracę.

Minał rok, skończyły się kolejne żniwa. Wiatru jak nie było, tak nie było, zaś nowy wiatrak pracował bez ustanku. Jan był niezmiernie szczęśliwy.

Po pewnym jednak czasie ciekawskie dzieci Jana, niepomne zakazu ojca, uradziły w tajemnicy, że koniecznie muszą sprawdzić, co takiego napędza wiatrak, że mieli on zboże nieprzerwanie, mimo braku wiatru. Kiedy Jan spał, wykradły się któreś nocy ze swoich łóżek i weszły do nowego wiatraka. Zobaczyły w środku drewnianą konstrukcję, pomalowaną smołą, której nigdy jeszcze nie widziały. Niektóre jej elementy przypominały ludzkie postaci.

Po chwili jednak wiatrak zatrząsł się w posadach, śmigła zaczęły spowalniać, aż się całkiem zatrzymały. Przestraszone dzieci dopadły do drzwi, ale nie mogły ich otworzyć. Oś ze śmigami przekreśliła się z pozycji poziomej do pionowej i wtedy śmigła zaczęły się ponownie kręcić. Coraz szybciej, aż wiatrak powoli uniósł się i odleciał w ciemność nocy.

Obudziwszy się rano Jan zauważył puste łóżeczka dzieci i zaczął rozpaczliwe poszukiwania. Wybiegł na zewnątrz i zauważył, że także nowy wiatrak zniknął. I wtedy przypomniał sobie i zrozumiał zapisane w umowie ostrzeżenie. Już wiedział, że dzieci mimo zakazu musiały wejść do czarnego wiatraka. Bał się komukolwiek przyznać, że to z jego winy zniknęły jego własne dzieci. Szybko stracił jakąkolwiek nadzieję na ich odzyskanie. Domyślał się, że to czarcia sprawka, ale wiedział, że z diabłem nie da się pertraktować.

I wtedy w Bolkowicach nagle zaczął ponownie wiać wiatr. Jan postanowił jednak rozebrać stary wiatrak, a na jego miejscu zaczął budowę nowego kamiennie-ceglanego budynku, w którym planował oprócz śmigół umieścić dodatkowo nowe mechanizmy w rodzaju kieratu, napędzanego przez konie. Skończył budowę budynku, ale nie zdążył wyposażyć, ani uruchomić młyna, bo ze zgryzoty i rozpaczy wkrótce zmarł.

Solidny budynek zbudowany przez Jana przetrwał aż do dziś. Nikt, kto znał tę historię, nie odważył się, aby później dokończyć i uruchomić młyn, który krył w sobie taką tragedię. Mieszkańcy Polkowic nigdy już nie pozwolili na wybudowanie innego wiatraka typu holenderskiego. Ale ponieważ od tamtych wydarzeń nie zdarzył się już nawet jeden bezwietrzny dzień, to kolejnych młynów-wiatraków powstało w Polkowicach podobno nawet jedenaście.

Ale były to już tylko tradycyjne koźlaki, drewniane i nietrwałe. Na wszelki wypadek jednak nie wpuszczano do nich nigdy dzieci. I żaden z nich nie przetrwał niestety do naszych czasów.